Przygoda z szachami zaczęła się 55 lat temu. To historia spotkań z ciekawymi ludźmi-pasjonatami i z niezwykle intrygującą grą. Jako ośmiolatek przyglądałem się partiom ojca i brata. Poprosiłem, żeby mnie nauczyli. Nie mieli na to czasu. Ale w domu był kodeks z przepisami i przykładowymi partiami. To nauczyłem się sam. Jakaż to była frajda ograć za jakiś czas starszego o 20 lat kuzyna. **I to nie byle kogo, bo bramkarza klubu piłkarskiego GKS Kostuchna!**

Autorytet! Obaj byliśmy bramkarzami. 😉 On w pierwszej drużynie, ja w trampkarzach. Doskonale pamiętam, że wtedy zastosowałem manewr zalecany w kodeksie – **opanowanie siódmej linii wieżami**… A motyw piłkarski jeszcze powróci…

Potem było trenowanie po kilka godzin dziennie, przeplatane komentarzami taty:

- Synek, ciepnij tymi szachami, bo z tego chleba mioł niy bydziesz.

Mistrzostwo szkoły podstawowej chleba jeszcze nie zapewniało. Dawało jednak prawo gry na szczeblu powiatowym. Szliśmy na turniej z nauczycielem Bolesławem Holeckim 7 km pieszo po torach, bo pociąg nie przyjechał.

Ćwiczenie determinacji – nieśliśmy szachownicę demonstracyjną o wymiarach met na metr. Naturalną koleją – nawiązując do pociągów – rzeczy było zapisanie się do silnego klubu GKS Tychy (wypatrzyli gdzieś na zawodach, potrzebowali juniora do drużyny szachowej). I tam treningi z bardzo ciepłym, sympatycznym trenerem, kandydatem na mistrza Tadeuszem Kapustą z Pszczyny.

**Gens una sumus – jesteśmy jedną** rodziną – to hasło międzynarodowej federacji szachowej, FIDE, było bardzo aktualne w klubie. Spotkałem naprawdę fantastycznych i życzliwych pasjonatów.

W takim gronie łatwiej się rozwijać…

Za rok był już pierwszoligowy „Start” Katowice, treningi z mistrzem Adamem Dzięciołowskim. Zaczęły się wyjazdy na zawody w całej Polsce. I znowu wspaniała kompania, i jeszcze więcej treningów, i mocne pragnienie zdobywania szczytów.

I trzy drużynowe mistrzostwa Polski juniorów. I dylematy. W niedziele grałem w szachy w „Starcie” Katowice, ale musiałem szybko wykonywać posunięcia, żeby zdążyć na… mecze piłkarskie KS 38 „Podlesianka”.

Tak łączyłem szachy i piłkę, zastanawiając się, co ostatecznie wybrać.

W Technikum Górniczym rozdawałem kolegom w żartach autografy z dopiskiem „Mistrz Polski”.

I zostałem nim kilka lat później, już podczas studiów. Na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim zgłosił się **kolejny klub, „Start” Lublin.**

W czasach, gdy na pierwszego w Polsce czarnoskórego koszykarza, **Kena Washingtona**, przychodził do hali przy Alejach Zygmuntowskich komplet widzów, szachiści też mieli swoich fanów po drugiej stronie ulicy. Zdobycie indywidualnego mistrzostwa Polski oznaczało dla mnie zmianę trybu życia, kolejne wyjazdy, tym razem zagraniczne, kolejni ciekawi ludzie.

Hasło „Gens una sumus” nabierało nowego znaczenia, gdy naprzeciwko zasiadał do gry Amerykanin, Rosjanin, Chińczyk, Kubańczyk. Izraelczyk przychodził na partie w Netanyi z karabinem, przedstawiciel Zjednoczonych Emiratów Arabskich na młodzieżowych mistrzostwach świata w Grazu nosił kandurę, luźny strój z białej bawełny od kostek po szyję – w latach socjalistycznej Polski były to nieco abstrakcyjne spotkanie sportowe i kulturowe, uczyły one otwartości. **Tak różnorodni, a tak zjednoczeni wspólną pasją – ścierania się idei na 64 polach.**

W tamtych czasach ciekawa była też gra korespondencyjna. Kartka z posunięciem do USA szła 2-3 tygodnie, drugie tyle z powrotem. Niektórymi graczami interesowała się służba bezpieczeństwa – „a cóż to za dziwne oznaczenia”: 1.e2-e4 lub 5254. Jak szyfr. Najdłuższą partię grałem pięć lat. **Nauka cierpliwości.**

Po studiach było przejście ze „Startu” Lublin do „Stilonu” Gorzów Wielkopolski.

Pytano wtedy znanego lubuskiego działacza, doktora Konrada Tołkacza:

- A ile cię kosztował ten zawodnik?

- Tyle co paznokieć piłkarza – odpowiadał dyplomatycznie, nie zdradzając kwoty.

Międzynarodowe doświadczenia zaowocowały zdobyciem **6 tytułów drużynowego mistrza Polski w „Stilonie” Gorzów Wielkopolski**; tu już w towarzystwie wielkich graczy światowego formatu, jak arcymistrzowie **Michał Krasenkow**, **Igor Chenkin**, arcymistrzyni **Iweta Radziewicz** (teraz Rajlich).

Tak z latami szachy pozwalały jednak zarabiać na chleb. Co jeszcze ważniejsze – kształtowały zrozumienie tajemnic gry. I wartość niezwykle cenna – umożliwiały rozwój dzięki spotkaniom z ludźmi-pasjonatami. Gdy po latach wspominam tę sportową, intelektualną i artystyczną przygodę, widzę łańcuch ważnych dla mnie ludzi, to czasami odzywa się w duszy żal, że przy szachownicy ktoś wygrywa, a ktoś musi przegrać.

Hasło „Gens una sumus” ma taki synergiczny wydźwięk, że chciałoby się postępować według zasady wygrana-wygrana. „Jesteśmy jedną rodziną” – to aktualne w dzisiejszym świecie.

W Zachodniopomorskiej Szkole Biznesu staramy się nawiązać do królewskiej gry. Zorganizowaliśmy w 2019 roku I. Gryficki Festiwal Szachowy, a w jego ramach niepowtarzalny kurs „pociągiem szachowym” z Pogorzelicy do Gryfic.